

Percepcja ekologizmu w Polsce

15 czerwca 2007

Pod terminem „ekologizmu” rozumiem nową orientację światopoglądową opartą na ekologicznej i ewolucyjnej wiedzy o funkcjonowaniu świata przyrody, włącznie z człowiekiem, oraz na uświadomieniu sobie naszej odpowiedzialności za kierunek dalszej ewolucji życia na Ziemi. O ile idea ewolucji przyrody jest osiągnięciem intelektualnym wieku XIX, to poszerzona myśl ekologiczna jest bodajże największą ideą, w jaką wzbogacił ludzkość wiek XX. Zrodzona w obrębie domeny nauk przyrodniczych ta holistyczna myśl przeniknęła do przeróżnych dziedzin, z etyką, filozofią i religią włącznie, czego przykładem jest choćby quasi-religijna filozofia ekologiczna H. Skolimowskiego. Odcisnęła też piętno na myśleniu ekonomistów, prawników, wielu techników, humanistów, itd. Właśnie dzięki ekologizmowi oraz pierwszemu spojrzeniu na Ziemię z perspektywy kosmosu światła część ludzkości zrozumiała siłę ograniczeń przyrodniczych napotykanym na drodze dalszego rozwoju gospodarczego. Zamiast dotychczasowego ekspansjonizmu nazwanego „gospodarką kowbojską” powstają zręby bardziej oszczędnej gospodarki typu „statku kosmicznego”, a zamiast wizji nieograniczonego ilościowo wzrostu gospodarczego koncepcja samoograniczającego się rozwoju jakościowego nazwanego zrównoważonym, trwałym lub ekorozwojem. Po raz pierwszy nasze pokolenie zrozumiało też w pełni to, że globalny kryzys środowiska jest przede wszystkim rezultatem dwóch równorzędnych form „zła ekologicznego”: nieodpowiedzialnego mnożenia się ludzi ciemnych i biednych oraz nadmiernego konsumpcjonizmu ludzi bogatych.

Konsekwencje takiego myślenia winien wcielić w życie wiek XXI. Rodzi się pytanie, jak w naszym kraju postępuje uświadomienie znaczenia ekologizmu oraz jak wygląda wdrażanie tej idei? Odpowiedź jest złożona: jest z tym różnie, zależnie od grupy społecznej i pokoleniowej oraz od rodzaju zdobytego

wykształcenia, a zwłaszcza od zajmowanej pozycji w strukturach organizacyjnych społeczeństwa. Na ogół najbardziej chłonie tę ideę młode pokolenie oraz ludzie zainteresowani kontaktem z przyrodą, zarówno zawodowo (przyrodnicy), jak amatorsko (turyści, miłośnicy przyrody). Najtrudniej przyswajają ją decydenci odpowiedzialni za rozwój gospodarczo-społeczny.

Realizacja nowych idei cywilizacyjno-gospodarczych zależy od stopnia świadomości społecznej, a ten – od panującego światopoglądu i od jakości edukacji. W przeszłości, pomimo kilku prekursorów prośrodowiskowego myślenia, zainteresowanie naukami przyrodniczymi długo pozostawało u nas na planie znacznie dalszym niż u sąsiadów. Nadrzędna dla nas walka o niepodległość skupiała niemal całą uwagę polskiego społeczeństwa na naukach humanistycznych, gdy świat zewnętrzny już w XIX-wiecznych salonach dyskutował implikacje teorii K. Darwina. Nasi pierwsi ewolucjoniści, jak J. Nusbaum-Hilarowicz we Lwowie, przeminęli bez większego wpływu na powszechną myśl polską, i jeszcze przed pół wiekiem dla większości rodaków K. Darwin pozostawał nie geniuszem nauki i kapłanem ewangelickim zarazem, a raczej wysłannikiem piekieł. Po II wojnie światowej na piedestał wydzwignięto zaś nauki techniczne, czyniąc Inżyniera wszechwiedzącym kapłanem postępu. Do dziś uniwersyteccy absolwenci kierunku Ochrony Środowiska przegrywają w staraniach o pracę z inżyniersko utytułowanymi absolwentami podobnego kierunku na politechnikach. Przyrodników, a zwłaszcza biologów środowiskowych i profesjonalnych ekologów, nie zatrudnia się w Polsce ani w gospodarce, ani w administracji, choć już sformułowano dwie edycje Polityki ekologicznej Państwa (1991, 2000), a zasadę ekorozwoju, jako nadrzędną wytyczną społeczno-gospodarczą, wpisano do Konstytucji RP. W administracji państwowej i samorządowej wciąż nie ma zawodu „ekolog” lub „biolog środowiskowy”, który wymagałby legitymowania się odpowiednim wykształceniem ekologicznym. Decyzje gospodarcze i administracyjne o długoletnich konsekwencjach dla środowiska przyrodniczego są podejmowane niemal wyłącznie przez

zwolenników ślepego na skutki ekologiczne ilościowego wzrostu gospodarczego lub, co najwyżej, przez przyuczonych „znachorów ekologii”. Najbardziej podstawowe (odśrodkowe) uwarunkowania rozwoju gospodarczego i dalekosiężnej polityki ekologicznej kraju oddano w przeróżne ręce, tylko nie zawodowych ekologów. A w tym samym czasie absolwenci kierunku „ochrona środowiska” nie znajdują zatrudnienia w wyuczonym zawodzie! Przykładem ignorowania profesjonalnych ekologów wręcz „świec” Ministerstwo Środowiska i związana z nim administracja leśnictwa, zarządzająca bez jednego choćby ekologa aż 28% obszaru kraju, oraz podobnie mocno rozwinięta administracja gospodarki wodnej. Powstały u nas getta zawodowe, zamiast rozwoju interdyscyplinarności. Jest to tym dziwniejsze, że akurat w Polsce prężne niegdyś szkoły ekologiczne powstały wcześniej niż w krajach sąsiednich. Mimo tego dziś o sprawach środowiska przyrodniczego i użytkowania zasobów naturalnych decydują u nas niemal zawsze osoby z tytułem Mgr. Inż., gdy już w krajach sąsiednich profesjonalny ekolog może być ministrem ochrony środowiska (Czechy).

Skąd się bierze taka dyskryminacja myśli ekologicznej i ekologów? Przyczyna zdaje się tkwić w podstawach psychologii życia publicznego. Wiadome jest z badań nad etologią różnych gatunków, że nową wiedzę i nowe poglądy łatwiej przyswajają jednostki młode, bo „czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Udowodniono to nawet na przykładach społeczności małp człekokształtnych i jeszcze niższych poziomem rozwoju życia psychicznego ssaków, co oznacza, że prawidłowość ta jest uwarunkowana biologicznie. Jest regułą biologiczną, że dominujące w hierarchii społecznej osobniki męskie tylko z wielkimi oporami przyjmują nową wiedzę. Dodatkowo, im dana grupa jest bardziej jednopłciowa (męska), tym bardziej staje się zhierarchizowaną (paramilitarną), i tym silniejszy jest jej konserwatyzm, gdyż informacja przepływa w niej z góry w dół, rzadko odwrotnie. Ten mechanizm biologiczny wyjaśnia, dlaczego w polskim bardzo scentralizowanym, stosunkowo mało demokratycznym i silnie zdominowanym przez

mężczyzn społeczeństwie idee ekologizmu szybko rozpowszechniły się głównie wśród ludzi młodych i wśród wykształconych kobiet. Nie ma jednak pewności, czy dzisiejsi młodzi ludzie po zdobyciu w przyszłości wysokich stanowisk i bezpośredniej odpowiedzialności, będą nadal skłonni pamiętać o swej wiedzy ekologicznej. Politycy i decydenci mają bowiem inną perspektywę myślenia: liczy się to co jest dzisiaj lub co dotyczy ich 4-letniej kadencji. Taka perspektywa jest dokładnie sprzeczna z zasadą rozwoju zrównoważonego, gdzie beneficjentami prawidłowego gospodarowania powinny być trzy mniej więcej równorzędne strony: dzisiejsze społeczeństwo, przyszłe ludzkie pokolenia i „odwieczna” przyroda.

Nie jest więc przypadkiem, że wśród mężczyzn na wysokich stanowiskach (zwłaszcza starszych wiekiem) ekologizm nie tylko nie zyskał wielu zwolenników, lecz w drugiej połowie lat 90. pojawiły się oznaki jakby zorganizowanej kontrrewolucji ekologicznej. Wystąpiła seria ataków na ekologów i ekologizm, a następnie wysoce skoordynowane działania modyfikujące prawo ochrony środowiska i ochrony przyrody. Doprowadziło to do jego „rozmiękczenia”, uczynienia dwuznacznym, nawet wewnętrznie sprzecznym, czyli łatwiejszym do obejścia. W kręgach gospodarczo-politycznych ekologizm poczęto postrzegać nie jako strategię dalekowzrocznego i zrównoważonego gospodarowania lecz jako przeszkodę w uzyskiwaniu szybkich efektów gospodarczych. Podjęto zatem próby kompromitowania tej idei w środkach przekazu. Manipulują one informacją wybierając, w celu ośmieszania tej idei, do publicznych wypowiedzi możliwie najbardziej radykalnych i buntowniczo wyglądających młodych przedstawicieli grup „zielonych”. Równocześnie niemal całkowicie zaprzestano ogłaszania wypowiedzi profesjonalnych biologów i ekologów. Tak skutecznej cenzury antyekologicznej, jak obecnie realizowana w czterech najbardziej poczytnych gazetach i tygodnikach, nie doświadczyliśmy nawet w latach 70. i 80.

Podsumowuję następująco: hamulcem w ekspansji idei ekologizmu

w naszym kraju stało się pokolenie rządzące, jako wykształcone jeszcze w atmosferze post-oświeceniowego bezkrytycznego uwielbienia dla technicznej wszechmocy człowieka. Cokolwiek stworzył człowiek, uchodzi za ważniejsze od tego, co stworzyła przyroda. Tymczasem, o ile zburzony Zamek Królewski w Warszawie mogliśmy odbudować w parę lat, to unikatowych bo pierwotnych ekosystemów leśnych przez ostatnie pół wieku konsekwentnie likwidowanych w polskiej części Puszczy Białowieskiej nikt nie odtworzy nawet w ciągu lat dwustu. Dopiero po ok. 500-1000 lat takie ekosystemy mogą powrócić do stanu zbliżonego do dawniejszego (sprzed silnej ludzkiej ingerencji), choć wymarłe w międzyczasie gatunki już nigdy się w nich nie odtworzą.

W atmosferze napięcia wokół ekologizmu nie ukształtował się w Polsce skuteczny przepływ nowych idei przyrodniczych od nauki (ekologii) do władzy. Profesjonalnych ekologów nie mamy ani w Komitecie Ekonomicznym Rady Ministrów, gdzie mogliby uczulać decydentów na długookresowe skutki dzisiejszych decyzji, ani nawet w jego Komitecie ds. Ekorozwoju (zwanym też Komitetem Polityki Regionalnej i Rozwoju Zrównoważonego), ani na decyzyjnych stanowiskach w Min. Środowiska i w jego różnych agendach, ani w innych resortach, ani w administracji rządowej i samorządowej na szczeblu wojewódzkim, powiatowym, czy gminnym. Nawet dyrektorami parków narodowych i krajobrazowych zwykle nie są ludzie o wykształceniu ekologicznym, lecz kształceni (dawniej) głównie pod kątem realizacji zadań gospodarczych leśnicy lub technicy. Choć niemal wszyscy oni deklarują się być „ekologami”, to ich działania często bywają de facto antyekologiczne.

Ostatnie manipulacje prawem (np. ostatnie dwie nowelizacje Ustawy o ochronie przyrody) wniosły zarzewie sporu ekologicznego także pomiędzy „ochroniarzy” a samorządy lokalne. Nierozważnie przedwcześnie uzależnienie tworzenia i powiększania parków narodowych od zgody miejscowych samorządów lokalnych, czyli gremiów, które w ogóle nie mają wykształconych ekologów, a swe interesy widzą z reguły w

nasileniu eksploatacji zasobów i maksymalizacji zysków, jest groźnym objawem legislacyjnego regresu. Stworzyło to klimat dla nasilania się roszczeniowych postaw nawet w tych samorządach, które jak np. gminy wokół Puszczy Białowieskiej, nigdy nie były właścicielami tamtejszych (królewskich-carskich-państwowych) lasów.

Innym powodem słabej percepcji idei ekologizmu jest nasilająca się rywalizacja w nauce o malejące nakłady finansowe. Wobec spadku tych nakładów z poziomu 0,73% budżetu w r. 1991 do 0,42% w r. 2001 większość środków poczyną iść na najsilniejsze organizacyjnie zwycięskie dyscypliny. Takimi są np. „modne” ostatnio ale kosztowne badania z zakresu molekularnej biologii, mimo że znaczna ich część nie wydaje się dla ludzkości zadaniem najpilniejszym, co łatwo wykazać. W dobie szybkiego ubożenia różnorodności biologicznej to konkretna regionalna wiedza ekologiczna jest co najmniej równie niezbędna co doskonalenie wiedzy globalnej o budowie i funkcjonowaniu materii i organizmów. Ten pierwszy rodzaj wiedzy dla trwania naszej cywilizacji jest dziś znacznie pilniejszy, i to nawet od niewątpliwie ważnego i ekscytującego poznawanie istoty życia. Na to drugie będzie jednak czas zawsze (!), gdyż prawidłowości budowy lub funkcjonowania atomów, molekuł, komórek, organizmów żywych, itp., nie zmieniają się w ciągu dwóch-trzech generacji ludzkich. Natomiast złożoność biologiczna zespołów ekologicznych, mechanizmy ich funkcjonowania, a zwłaszcza lokalne, regionalne i globalne warunki środowiskowe, rychło zmieniają się nieodwracalnie. I to zanim ludzkość pozna je w stopniu choćby tylko dostatecznym (por. E.O. Wilson 1999. Różnorodność życia). Nawet całkowite zawieszenie na jakiś czas, czego zresztą nie postuluję, badań nad budową struktur i organizmów, nad genetycznym „ulepszaniem” Natury, nad długowiecznością człowieka, nie zagroziłoby ani naszej cywilizacji, ani gatunkowi ludzkiemu, ani biosferze. Pilność przemawia za przyznaniem w naukach przyrodniczych okresowego jeśli nie priorytetu, to przynajmniej równouprawnienia, dla badań fizjograficznych,

ekologicznych i taksonomicznych oraz dla praktycznych działań ochroniarskich. Przemawia też za wycofaniem niemądrego pogardliwego o tych badaniach opiniowania („przestarzałe, XIX-wieczne, opisowe”). Jak dotąd ani politycy, ani wysocy naukowcy, urzędnicy, nie zauważyli tego, że o przyszłości świata przyrody zadecyduje raczej suma jej stanów regionalnych, a nie wspólne ewolucyjne prawidłowości w budowie fizycznej, molekularnej lub w genetyce. A jeśli coś o naturze podstawowej, ewolucyjnej, nawet zagrozi światu, to prawdopodobnie będą to skutki nieodpowiedzialnego igrania z maszyną genetyczną. Zauważmy tu, że pomimo nieznajomości tej maszyny rodzaj nasz ewoluował przez parę milionów lat nad wyraz pomyślnie. Z punktu widzenia bezpieczeństwa biosfery nawet zbyt pomyślnie!

Dziś stoimy przed wyborem: albo starać się ograniczyć rozmiar wywołanej przez człowieka fali przyspieszonego wymierania gatunków i niszczenia naturalnych ekosystemów (R. Leakey, R. Lewin 1999 Szósta katastrofa), czemu mogłoby służyć obok hamowania rozrodczości w krajach Trzeciego Świata i nadmiernego konsumpcjonizmu narodów bogatych także silne wsparcie terenowych badań przyrodniczych, albo kierując główne środki na „naprawianie” jednostek ludzkich, najczęściej bogatych, poprzez zaniechanie przeciwdziałania doprowadzić do pełnego rozwinięcia się katastrofy różnorodności biologicznej. Wiele wskazuje na to, że światowa i polska biologia wybrały tę drugą drogę, bezwiednie poddając się międzynarodowej „modzie” służenia bogatym, a nie dobru wspólnemu naszego gatunku oraz naszej jedynej biosfery.

Wobec zepchnięcia badań terenowych zajmujących się różnorodnością biologiczną na ubocze nauk przyrodniczych przez niewątpliwie ważne lecz znacznie mniej pilne dyscypliny, niedostatecznie liczni taksonomowie i ekolodzy nie zdążą ani sporządzić inwentarza istniejących na planecie wszystkich gatunków, ani wyjaśnić jakie wartości dla człowieka i przyrody giną wraz z ok. 28 000 gatunków wymierającymi rocznie

(E.O.Wilson, 1999). Taką to cenę płaci przyroda za niedoceniające w naukach przyrodniczych badań inwentaryzacyjnych, a także za niedoceniające ich przez elity gospodarczo-polityczne. Nowe myślenie, bardziej obiektywne i bardziej dalekowzroczne, trzeba by zaszczeniać począwszy od biologów, menadżerów i polityków.

Choć świat nauki o wieku XXI mówi jako o Wieku Biologii oraz Wieku Kryzysu Środowiska, oraz mimo że znaczna część (młodsza) polskiego społeczeństwa domaga się zapewnienia nam życia w czystym i zdrowym środowisku przyrodniczym, to nasi politycy i administratorzy jeszcze nie uświadamiają sobie potęgi przyrodniczych uwarunkowań w rozwoju gospodarki i cywilizacji. Nadal wyżej cenią tradycyjne surowce i technologie, od nowocześnie wykształconych umysłów ludzkich i od nowych idei oraz nowych źródeł energii odnawialnej wyznaczających kształt przyszłości. O ekologii, która jest młodą nauką, wymagającą szybkiego rozwoju i dotacji – por. podręcznik Ch. Krebsa (1996) Ekologia eksperymentalna – uprzedzone do niej władze albo całkowicie zapominają albo reagują na nią negatywnie, z irytacją. Zmiana takiego nastawienia jest jednym z najważniejszych zadań dla zwolenników ekologizmu. Zmianę taką mogłaby wybitnie przyspieszyć powszechna i gruntowna edukacja ekologiczna na wszystkich szczeblach szkolnictwa (zamiast obecnego ograniczania tego typu nauczania), jak zwłaszcza doksztalcanie w zakresie ekologii i ochrony środowiska przeprowadzane dla dzisiejszych menadżerów gospodarki i polityków. Tego typu kursy ekologiczne dla decydentów są już od kilkunastu lat prowadzone na uniwersytecie stanu Georgia w Athens k. Atlanty.

Trzecim powodem niedostatecznej siły ekologizmu są rozbieżności wewnętrzne w sposobach oceniania wartości przyrody i w postawach etycznych kształtujących nasz do niej stosunek. Istnieją dwa różne, aczkolwiek niezupełnie przeciwstawne, wzorce wartościowania przyrody: antropocentryczny i biocentryczny. W cywilizacji Zachodu jej

wartość zawsze postrzegano antropocentrycznie, głównie użytkowo. Świadectwem są sformułowania biblijne. Tylko nieliczni zachodni myśliciele rozumieli, jak buddyści, że ma też ona swą własną wartość. Długo posługiwano się nieprecyzyjnymi i raczej sentymentalnymi oszacowaniami tych wartości, np. „bezcenna”, czasem sięgając po wsparcie natury estetycznej, etycznej lub religijnej, a od niedawna po wsparcie naukowe. Argument biocentryczny typu „każdy gatunek ma prawo do życia”, wymagał zaś wykształcenia specjalnej hierarchii wartości, odmiennej od tej, jaką przez tysiąclecia wpajano ludziom Zachodu. Wymaga on rozwinięcia nieczęstej wrażliwości etycznej i intelektualnej. Wobec tych trudności powstaje czasem pokusa narzucenia „właściwych” poglądów siłą: pojawia się histeria proekologiczna w wykonaniu niecierpliwych młodych ludzi, niekiedy nawet proekologiczny terroryzm. Takie postawy wywołują z kolei histerię antyekologiczną, np. rozpaloną w Białowieży i Zakopanem przeciw parkom narodowym. Dojrzeła już atmosfera dla lokalnych „wojen ekologicznych”.

Co gorsze, sama biocentryczna argumentacja dzieli się na dwie przeciwstawne odmiany:

Biocentryczny indywidualizm, kiedy to celem ludzkiej opieki staje się dążenie do uwolnienia od cierpień lub do ich zmniejszenia u wszelkich zwierząt z nami się stykających. Wywodzona od św. Franciszka i Alberta Schweitzera ta w znacznym stopniu utopijna myśl znalazła swe rozwinięcie w pięknej etycznie działalności organizacji „Animalsów” broniących przed niepotrzebnym cierpieniem poszczególne zwierzęta domowe i dzikie. Zostało to ukoronowane sformułowaniem ustaw o prawach zwierząt (w Polsce: Ustawą o ochronie zwierząt, 1997) i ukuciem bardzo radykalnego hasła „każde zwierzę ma prawo do życia”. Czy jednak roznosiciele groźnych dla ludzi chorób też mają się cieszyć taką ochroną? Zauważmy, że pomimo usilnych starań nie bylibyśmy w stanie wyeliminować cierpienia i śmierci z przyrody; chodzi tu więc o ograniczenie rozmiaru cierpienia.

Biocentryczny holizm, rozwijany przez profesjonalnych przyrodników. Jest on daleki od radykalizmu „animalsów”, ponieważ opiera się na postrzeganiu ewidentnej sprzeczności pomiędzy interesem poszczególnych osobników (nieraz gorszych genetycznie lub będących nosicielami chorób), a zdrowiem całych gatunków i zespołów organizmów żywych. Ten sposób myślenia na pierwszym miejscu stawia dobro wspólne gatunków i ekosystemów, a nie dobro zawsze wszak śmiertelnych jednostek. Ratowanie najśłabszych osobników, które z powodu ich cech dziedzicznych, wypadków lub zachorowań zostały przez dobór naturalny „skazane” na wykluczenie z populacji, bywa działaniem pięknym etycznie, ale nie zawsze rozumnym, gdyż mogącym zaszkodzić dobru nadrzędnemu – interesowi całej populacji danego gatunku. Nierealistyczne byłoby też zakazywanie akcji regulacyjnych wobec zwierząt roznoszących choroby lub inaczej uciążliwych (komary, karaluchy, mrówki faraona itp.). Profesjonaliści przyrodniczy widzą pilną konieczność wypracowania zróżnicowanego systemu zasad postępowania dostosowanego do wielkiej różnorodności stopni rozwinięcia w poszczególnych kategoriach zwierząt zdolności do odczuwania bólu fizycznego i psychicznego oraz wykształcenia lub też nie zaczątków samoświadomości. Nie można formułować jednakowych zasad ludzkiego postępowania wobec przenosicieli groźnych chorób, wobec stosunkowo mało skomplikowanych pod względem neurologicznym owadów, a zarazem wobec społecznych ssaków, zwłaszcza tych o najwyższej uorganizowanej psychice i skomplikowanym życiu społecznym, jak psowate, słonie, delfiny i małpy człekokształtne.

Rozdźwięk pomiędzy obydwoma biocentrycznymi orientacjami osłabia ich siłę perswazji kierowanej do zwykłych ludzi, głuchych na obie argumentacje, bo pozostających pod wpływem antropocentrycznej tradycji judeochrześcijańskiej. Z tego rozdarcia korzysta właśnie antropocentryzm, dzięki swej monolityczności. W praktyce jest to tylko antropocentryczny indywidualizm, propagowany przez religie i medycynę, a zorientowany na ochronę jednostki ludzkiej ponad wszystkim.

Natomiast antropocentryczny holizm, zwłaszcza ten rozpatrujący dobro gatunku ludzkiego w kategoriach ewolucyjnych (np. E. Mayr 1963 Gatunek zwierzęcy i ewolucja), wraz z ideologicznym potępieniem eugeniki F. Galtona i w jej imieniu dokonanych nadużyć, został wyparty poza zasięg nauki i praktyki.

Na szczęście argumentacja antropocentryczna (przynajmniej w wersji szerokiej, rozumnej) nie jest zdecydowanie przeciwstawna wobec biocentrycznej, a szczególnie wobec biocentrycznego holizmu (U. Hampicke 1994 Ethics and economics of conservation. Biol. Conservation 67). Często nie ma więc pożytku w rozważaniu, która z nich ważniejsza filozoficznie. Istotne jest to, że sama argumentacja antropocentryczna wystarcza za uzasadnienie, że powinniśmy jednak chronić złożoność przyrody dla dobra samej ludzkości. Jednak dla trwałego ochrony przyrody, tak by mogły z niej korzystać przyszłe pokolenia, i aby osłabić przyszły rozmiar niszczenia obszarów chronionej przyrody przez zanarchizowane przegęszczeniem i poczuciem krzywdy masy ludzkie, konieczne jest rozwinięcie uzasadnienia wielorakiego, z poważnym potraktowaniem jej samoistnych wartości (biocentryzmu).

Tempo nasilania się niebezpiecznych zjawisk w środowisku przyrodniczym (za moich lat studenckich o większości z nich nikt nie słyszał!) powoduje, że przyszły kształt życia na Ziemi decyduje się w procesach edukacji prośrodowiskowej, której prawidłowe prowadzenie jest dziś jednym z najważniejszych i zarazem najpilniejszych zadań. Już dziś toczy się więc walka o umysły ludzkie, o miejsce światopoglądu ekologicznego i o szerokie zaaprobowanie nowego systemu wartości. Trzeba zrobić wszystko co w naszej mocy, aby już w następnym pokoleniu rozpowszechnił się system wartości bliski zasadom etyki i filozofii ekologicznej, w którym centralne miejsce zajmie nakaz moralny szeroko pojętej oszczędności (jako rodzaj nowoczesnej rozumnej ascezy), zamiast poddawaniu się napędzanej ogłupiającymi reklamami nadmiernej konsumpcji. Ekologizm wskazuje jednoznacznie, że ludzkość nie może

bezkarnie kontynuować dwóch groźnych form destrukcji biosfery, poprzez nieopanowany egoizm rozrodczy biednych i oszalały egoizm konsumpcyjny bogatych. Znane prawo matematyczno-fizyczne dowodzi bowiem, że w żaden sposób nie da się równocześnie maksymalizować dwóch zmiennych.

Autor: Ludwik Tomiałojć

Źródło: ["Recykling Idei" nr 1/2002](#)

O AUTORZE

Ludwik Tomiałojć – światowej sławy ornitolog, profesor UWr, członek Prezydium Komitetu Ochrony Przyrody PAN, przewodniczący Polskiego Komitetu Światowej Unii Ochrony Przyrody – IUCN, autor lub współautor ponad 170 publikacji.